Świat
Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 29 Głosu Wielkopolskiego

POZNAŃ, 18 VII 1948 r. ROK II

Choina — strażnica ziemi świdnickiej

Księżniczka miała zaledwie piętnaście lat, kiedy rodzic wyszukał jej małżonka. Był to pan okolicznych włości, bogaty, sławny, ale już nie pierwszej młodości. Księżniczka nie chciała go za męża. Już dawno oddała swe serce młodemu rycerzowi z książęcej drużyny. Wola ojca, była jednak zbyt silną, by nie przełamać dziewiczych pragnień panienki. Musiała zgodzić się na zaręczyny.

Już po uroczystości narzeczeni odbywają oto pierwszy wspólny spacer. Idą wąską ścieżyną wijącą się wśród szczytów górskich. W pewnej chwili, gdy znajdują się nad brzegiem wysokiej skalnej ściany, serce księżniczki zaczyna silniej szamotać się w piersi. Ale wahanie trwa zaledwie drobną sekundę. Bo oto po chwili znienawidzony przez nią rycerz strącony energicznym pchnięciem, pada w śmiertelną przepaść.

Surowy był wyrok ojca, karzącego córkę-morderczynię. Zakutą w kajdany zamurować kazał w małej, niskiej pieczarze w pobliżu izby tortur. Kiedy ów młody rycerz, ukochany księżniczki, usiłował uwolnić dziewczynę, został pojmany i ścięty. Księżniczka umarła śmiercią głodową, wpatrzona w twarz jedynego swego obrońcy.

Ponury wiew średniowiecza obejmuje każdego, kto spogląda dziś na zżółkły szkielet ludzki w ciemnej, oddzielonej kratami komnacie. Te ledwie trzymające się kości, przykute do ścian łańcuchami, potwierdzają treść ponurej legendy. Zamek **Choina**, wznoszący się na jednym z lesistych grzbietów Gór Wałbrzyskich kryje w swych murach wiele takich tajemnic, o których podania w różnych wersjach krążą pośród okolicznej ludności. Warownego grodu, siedziby książąt świdnickich, strzegło naturalne położenie: wysoka na 450 m góra, pokryta gęstym lasem mieszanym, oraz wijąca się u podnóża rzeczka Bystrzyca, lewoboczny dopływ Odry. Dlaczego właśnie tutaj już w XI wieku książęta świdniccy wznieśli zamek nie potrzeba pytać. Właśnie doliną Bystrzycy prowadził starodawny szlak wojenny i handlowy z Polski do Czech. Ważna to była droga, tak ze względów strategicznych jak i handlowych. Wiedział o tym Bolko I Świdnicki, który, jak podają źródła historyczne z lat 1315 i 1353, zamek w Choinie podobnie jak i wiele innych, odnowił i rozbudował, by strzegły przed najazdami polskich ziem.

Gdybyż stare mury mogły przemówić! Przewinęłyby się przed nami barwne dzieje tego piastowskiego grodziszcza. Rządy władców polskich, czeskich i niemieckich pozostawiły odrębne ślady w postaci różnych uzupełnień, przebudówek i... zniszczeń. Przez pewien czas staje się zamek gniazdem niemieckich rycerzy-rabusiów, grasujących w okresie długotrwałych zamieszek wojennych XV XVI wieku. Szwedzi dziurawią jego mury, szukając ukrytego złota. Reszty zniszczenia dokonuje czas, krusząc wiekowe ściany, oraz pożar w drugiej połowie XVIII wieku, który strawił wiele bezcennych pamiątek z najdawniejszych czasów.

Ale i to, co widzimy dzisiaj, imponuje powagą historycznego autentyku. Kiedy przez niską bramę, ozdobioną płasko rzeźbionymi ornamentami wchodzi się na dawny dziedziniec rycerski, przybysza ogarnia nastrój pewnego rodzaju niesamowitości. Z głazów i szarych, omszałych murów bije chłód średniowiecza. Poprzez grubą warstwę niemieckich naleciałości uważne oko dostrzega polskość żywą i mocną. Mówi o niej większość eksponatów z całego grodu, zebranych w ocalałych od zniszczenia komnatach: rycerskie zbroje, kusze, miecze obosieczne, stare sprzęty domowe i przedmioty codziennego użytku.

Krętymi schodami wznosimy się w górę wewnątrz okrągłej baszty. Na każdym piętrze — głębokie nisze okienne. Tynk na murze jest siny od starości i upstrzony inicjałami niemądrych wycieczkowiczów. Trud wdrapywania się na wieżę wynagradza olśniewający widok, jaki roztacza się ze szczytu na całą okolicę. Nie wiadomo na co wpierw spojrzeć: na pulsujące zielenią lasów pasma gór Wałbrzyskich i Sowich, na czarującą krętą dolinę Bystrzycy, piękne wzgórza Jugowickie, szachownicę pól i pastwisk, czy też na malowniczo położone osiedla i wioski rozległej Ziemi Wałbrzyskiej.

Na przeciwległym wzgórzu, na wysuniętej stromo skale, dostrzegamy wysoki drewniany krzyż. Postawiono go w miejscu, z którego strącony został w przepaść ów nieszczęśliwy narzeczony pięknej księżniczki. Ile już wieków minęło od tej ponurej historii? Ciała stoczył robak, pamięć wypadków rozpełzła się w dziesiątkach legend i podań ludowych.

Została do dziś potężna, wznosząca się wysoko w niebo budowla. W jej murach żyje duch polskich władców. Dlatego nie bez słuszności upamiętniono chwilę wyzwolenia tych ziem napisem przy bramie wejściowej do zamku choińskiego: **„Ziemio Piastów, wróciłaś po 7 wiekach do Macierzy by pozostać z nią na zawsze".**

Julian Mikołajczak

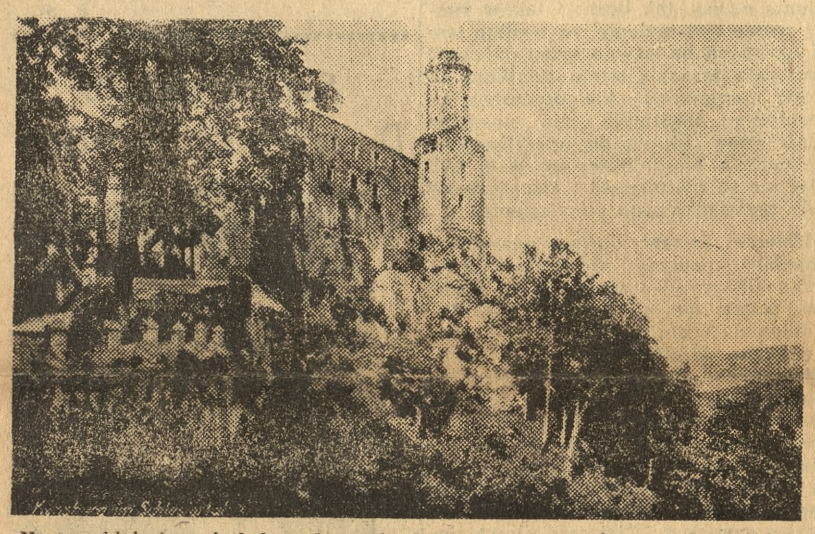

Na wysokiej stromej skale nad rzeczką Bystrzycą wznoszą się mury piastowskiego zamku w Choinie. Początki tego grodu, siedziby książąt świdnickich, sięgają roku 1098 (czasy Bolesława Krzywoustego)

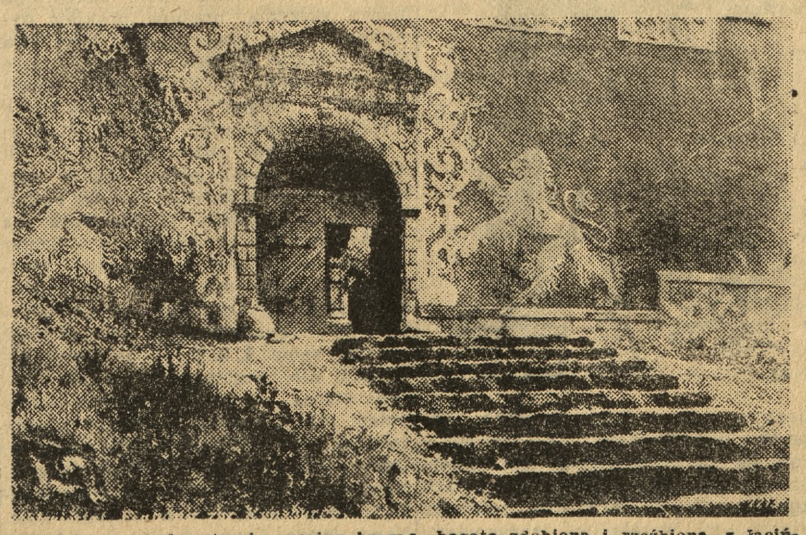

Wejścia do zamku strzeże potężna brama, bogato zdobiona i rzeźbiona, z łacińskim napisem u góry: „Fortiter et fideliter"

JAN BRZESKI

Korespondencja własna

Budapeszt i Praga á la fourchette

Miasta można zwiedzać w dwojaki sposób: bądź tak zw. metodą Baedeckera, to znaczy oglądać muzea, zabytki, parki i inne rzeczy, wymienione i szczegółowo opisane w przewodniku., bądź też na oślep, starając się z przygodnych rozmów, z twarzy spotykanych ludzi, z wyglądu wystaw okiennych, ruchu ulicznego i tym podobnych szczegółów odcyfrować to, co się kryje w ciszy kamiennych murów i w zgiełku zatłoczonych kawiarń — odgadnąć duszę miasta. Pierwszy sposób zaznajamia nas z dorobkiem kulturalnym przeszłości, drugi daje pogląd na teraźniejszość. Osobiście przekładam tę drugą metodę, takie właśnie podróżowanie stanowi najgłębszą moją pasję.

Obserwacja wymaga jednak czasu a ja go miałem naprawdę niewiele, gdyż i w Budapeszcie i w Pradze spędziłem zaledwie jeden dzień. Mogę więc tylko ot tak właśnie à la fourchette podać kilka okruchów wrażeń, często być może przypadkowych, na pewno niekompletnych.

Przemawiał dziad do obrazu...

Budapeszt ma dwa główne dworce Nyugate i Kelety (Wschodni i Zachodni) i kilkanaście pomniejszych. Już to samo świadczy o terenowej rozległości tego miasta, w ktorym mieszka około półtora miliona ludzi. Traf zrządził, że przyjechałem na Dworzec Wschodni a wieczorem miałem odjeżdżać z Zachodniego. Pierwszą więc moją troską było umiejscowienie walizki w przechowalni właściwego dworca. I tu od razu zaczęła się tragedia, która dała mi przedsmak trudności, jakie w Budapeszcie czekają cudzoziemca.

Zazwyczaj w każdej stolicy można dogadać się w którymś z wielkich języków świata. Tu jednak jest inaczej. Podchodzę właśnie do fantazyjnie umundurowanego milicjanta w sztywnych, białych mankietach po łokcie, regulującego ruch uliczny i zagaduję na chybił trafił: Gawaritie pa ruski? — Przeczące skinienie głową. Próbuję więc z innej beczki: Sprechen Sie deutsch? — Ten sam efekt. — No, myślę sobie, tu nareszcie mój poliglotyzm na coś mi się przyda i zajeżdżam kolejno: Do you speak English? — Parlez-vous francais? — Nic, ani słowa. — Nie wytrzymałem nerwowo i rąbnąłem po polsku: W jakim języku do jasnej ch... można się z panem porozumieć? — I o dziwo, niemy dotychczas posąg ożywił się. Magyar (po węgiersku) powiedział, uśmiechając się przyjaźnie. — Po kilku dalszych nieudanych próbach zasięgnięcia języka powlokłem się do położonego w sąsiedztwie gmachu poczty, zdecydowany telefonować po informacje do polskiego poselstwa. Okazało się jednak, że telefony w Budapeszcie funkcjonują akurat tak samo jak w Warszawie, tzn. dodzwonić się w jakimś ściśle określonym terminie jest niepodobieństwem. — Miałem już zamiar kupić sobie jakieś rozmówki węgierskie i z miejsca zabrać się do nauki, kiedy z kłopotu wybawiła mnie wreszcie prowizorka w aptece, dokąd wstąpiłem, by kupić sobie proszek na ból głowy. Łamaną francuszczyzną wytłumaczyła mi, jak się nazywa po węgiersku Dworzec Zachodni, i że mam jechać tramwajem 96.

Kobiety, kobiety...

Oswobodzony z walizki i płaszcza — a upał był w tym dniu niemiłosierny — zacząłem wałęsać się po ruchliwych ulicach śródmieścia. Węgry, do ostatniej wojny kraj wielkich feodałów, przechodzą głęboki przewrót społeczny, którego wynikiem będzie usunięcie istniejących nierówności. Sądząc jednak z pobieżnych obserwacyj, sam Budapeszt jest jak na razie ciągle jeszcze w poważnym stopniu miastem ludzi bogatych, należących do tego grona, które się u nas określa mianem "inicjatywy prywatnej" w cudzysłowie. Świadczy o tym i niespotykany w Polsce przepych wystaw, zawalonych najbardziej luksusowymi towarami i odpowiednio słone ceny tych artykułów —

Igraszkom szympansów w budapeszteńskim Zoo przypatrują się setki młodocianych widzów.

dla cudzoziemca wysoki kurs węgierskiej waluty czyni je jeszcze bardziej słonymi — i wspaniałe toalety pań, plotkujących na tarasie kawiarni Opery i w wielkich lokalach przy Rakoci utca.

A propos pań (temat zawsze interesujący i aktualny) moja, że się tak wyrażę, wizja Węgierek, jako smagłych, pełnych temperamentu, czarnookich brunetek po przyjrzeniu się budapesztenkom uległa gwałtownemu przeobrażeniu. Jak tam jest z temperamentem o tym niestety nie miałem możności się przekonać, w każdym jednak razie blondynek zauważyłem przynajmniej tyleż co brunetek, jasna cera nie jest bynajmniej rzadkością a w kolorze oczu spotyka się tak samo szeroką skalę tonów jak u nas w Polsce. Na ogół niewiasty tutejsze są jak się to mówi „solidnie" zbudowane i typu osy (mam na myśli talię nie charakter) prawie się nie widzi.

Jest to zresztą jedyne odstępstwo od panującej wszechwładnie w Budapeszcie mody paryskiej.. Przyznam się, że długie — omal nie do kostek — letnie suknie przeważnie w wrzosowych i lila odcieniach robiły na mnie irytujące wrażenie. Zdecydowanie zwariowana moda, przypominająca fotografie prababek z zalatującego stęchlizną familijnego albumu...

W budapeszteńskim Zoo

Tyle nasłuchałem się opowiadań o piękności Budapesztu, iż rzeczywisty obraz nie dosięgał wyimaginowanego Co prawda w dużym stopniu ponoszą w tym winę wojenne zniszczenia. Wprawdzie w nowej części miasta, w Peszcie nie są one zbyt wielkie, ale tak się jakoś złożyło, że dotknęły najbardziej reprezentacyjnych budowli — jedynie na wspaniałym gmachu parlamentu 123 armatnie pociski nie pozostawiły żadnego niemal śladu. Znikły też efektowne mosty na Dunaju, łączące nizinny Peszt z położoną na wzgórzu Budą. Ta stara część miasta leży co najmniej w 60% w gruzach.

Budapeszt miał jeden z najpiękniejszych w Europie ogrodów zoologicznych. Wiedząc o tym musiałem tam zajrzeć. Niestety i tu wojna dokonała zniszczenia. Wytworne klatki i wspaniałe wybiegi świecą pustkami lub też biegają po nich mało atrakcyjne psy, koty i króliki ewtl. rasowe kury (coś tak, jak od pewnego czasu w poznańskim Ogrodzie Zoologicznym). Z całego stada małp, jakie tu kiedyś były, zachowało się tylko kilka. Jak widać jednak z załączonego zdjęcia, nie tracą one fantazji i korzystają z stojących do ich dyspozycji zabawek.

Harmonia wieków

O ile wojna mocno przeorała stolicę Węgier, odbierając jej wiele z dawnych powabów o tyle Praga, którą znałem jeszcze sprzed wojny, jest dziś chyba jeszcze piękniejsza niż kiedykolwiek. Nie na próżno Czesi mówią o niej z dumą „zlata Praha" To utrzymane w błyszczącej wprost czystości miasto w jakiś fantastyczny, niespotykany gdzie indziej sposób łączy rozmach nowoczesności z tajemniczą mistyką średniowiecza, wiejącą ze starych murów, budowanych jak fortece bram, wąskich podwórców, kamiennych mostów.

Praga przypomina sznur korali czy bursztynów: wieki są nanizane na nitkę w niesłychanej zgodności i harmonii ręką największego sztukmistrza — przypadku. Można się tu dowolnie przerzucać z nastroju w nastrój. W ciągu minut z tętniącego życiem, europejskiego w najlepszym tego słowa znaczeniu Waclawskiego. Namesti — od szumu płynących zwartą falą samochodów, od pełnych wykwintu wystaw, bajkowo urządzonych kawiarń można przenieść się w uliczki dzielnicy uniwersyteckiej, w pełne zakamarków zaułki starego miasta, ku Hradczynowi.

Specjalnością Pragi są liczne i rozległe pasaże, we wnętrzu których kryją się eleganckie magazyny, restauracje i kina. Wchodzi się do takiego pasażu gdzieś w centrum miasta i człowiek ani się spostrzegł, jak znalazł się w dzielnicy o odmiennym charakterze.

Moda długich sukien nie ominęła i Pragi, jednakże Czeszki nie poszły na jej zew bezkrytycznie. Suknie sięgają tu co najwyżej do połowy łydki, zachowany jest szyk i wdzięk, stroje pań nie trącą staroświecką myszką.

Aprowizacyjne kłopoty

Dla cudzoziemców a zwłaszcza dla Polaków, którym jak wiadomo rozkosze podniebienia nie są obojętne, dużym utrapieniem jest bardzo rygorystyczny reżim kartkowy. Czechosłowacja miała parę lat nieurodzajów i zwłaszcza katastrofalna susza w ub. roku spowodowała żywnościowe niedobory. Obcokrajowiec po zameldowaniu się otrzymuje również kartki, ja jednak byłem w Pradze tylko 1 dzień, „listków" więc nie dostałem. Toteż tylko żywiłem się dorszem, jednyą potrawą wyjęta spod surowych rygorów.

„Listkami" objęta jest nie tylko żywność ale i wszelkie artykuły przemysłowe powszechnego użytku, m. in. buty i pończochy. Z tego nie wynika, by towarów tych brakowało. Wręcz przeciwnie. Wystawy sklepów prezentują bogaty asortyment i posiadacze „listków" nabywają to, co im przysługuje w żądanej jakości i bez stania w kolejce. Cały system służy jedynie zabezpieczeniu równomierności w rozdziale towarów i walce ze spekulacją.

Jest jednakże artykuł wyjęty z ogólnej reglamentacji tego systemu. Artykułem tym jest książka. Książki w Czechosłowacji są tanie, dobrze wydane i każdy może je nabywać bez ograniczeń. Zauważyłem, że publiczność praska z szansy tej istotnie korzysta i ruch w księgarniach jest wielki. Praga jest zwierciadłem dzisiejszej Czechosłowacji, a dzisiejsza Czechosłowacja pracuje i uczy się.

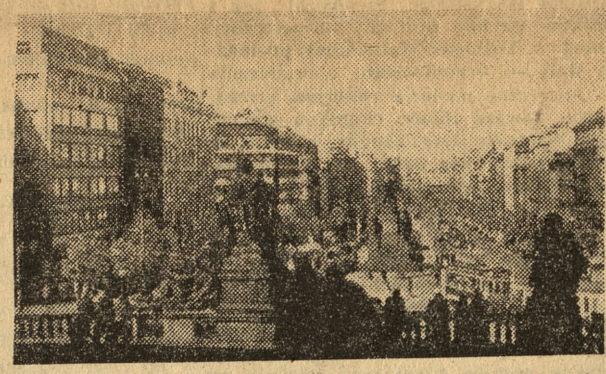

Na Waclawskim Namesti — głównej ulicy Pragi wznosi się pomnik św. Wacława — patrona Czech.

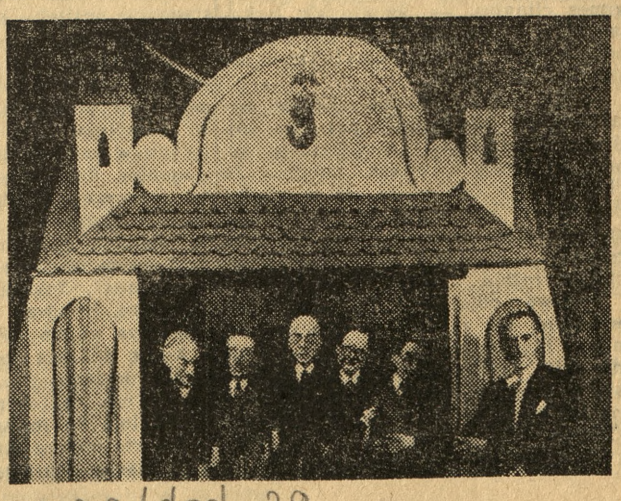

Od szeregu dni cieszą się dużym powodzeniem w Państw. Teatrze Polskim w Poznaniu gościnne występy łódzkiego Teatru „Syrena" pod dyr. J. Jurandota w oryginalnym programie humoru i satyry politycznej p. t.: „Wgląd w rząd". Obok fragment Wielkiej Szopki Politycznej. Premier Cyrankiewicz w otoczeniu Ministrów i prezyd. m. Warszawy Tołwińskiego. Zapowiada K. Rudzki. Kukiełki J. Zaruby.

Cz 4239/dod. 29
1948

771 c 1986

TEODOR ŚMIEŁOWSKI

Śpiew „słowików" poznańskich

nad bałtycką falą

Nie bez pewnego wzruszenia stawałem wkrótce po zakończeniu działań wojennych nad naszym bałtyckim wybrzeżem, zabłądziwszy w samotnej przechadzce od polskiego już Sopotu do olbrzymiego parku w Oliwie, gdzie w cieniu wspaniałych drzew skryła się okazała katedra Opactwa Cystersów. Mimo, że smukłe iglice wieżyc fasady frontowej ścięte zostały podmuchem wojennym — wyniosła katedra, kryjąca tyle drogich polskiemu sercu pamiątek historycznych — ocalała szczęśliwie wraz ze wspaniałymi, zabytkowymi — bodaj dziś jedynymi w Polsce — tego typu organami. Na organach tych niejedni mistrzowie wyczarowywali pod czułym dotknięciem palców potężne fugi i melodyjne preludia — uskrzydlające ludzkie dusze i serca w modlitwie ku Bogu. Równocześnie zaś z płynącą ze srebrnych piszczałek melodią pyzaci aniołkowie poczynali poruszać złotymi trąbkami, fletami i innymi instrumentami muzycznymi.

Nie przypuszczałem, że szczęśliwy traf sprowadzi mnie niebawem po raz drugi w dostojne mury tej świątyni, które rozebrzmią tonami — tak bliskiemi i wywołującej tyle głębokich wzruszeń — muzyki. Wespół z klasycznymi arcydziełami polifonicznej muzyki kościelnej Włoch z Palestriną na czele — wzbiły się znów pod gotyckie sklepienia katedry oliwskiej — którą starano się w ciągu ub. stulecia na gwałt zgermanizować i zetrzeć wszelkie ślady polskości — pieśni mistrzów staropolskich złotego wieku w wykonaniu chłopięcego i męskiego chóru poznańskiego im. ks. dra Gieburowskiego pod dyr. Stefana Stuligrosza. Chórowi towarzyszył na organach długoletni zasłużony organista katedry poznańskiej, współuczestnik triumfów na estradach krajowych i zagranicznych przedwojennego chóru tej katedry — prof. Józef Pawlak.

Myśl urządzania koncertów religijnych po kościołach nie jest nową szczególnie dziś po wojnie — ze względu na zniszczenie szeregu sal koncertowych — znalazła dość częste zastosowanie, zwłaszcza, że dobra akustyka i specjalny nastrój niejednych kościołów polskich sprzyjają wytworzeniu się odpowiedniego klimatu dla słuchania tego rodzaju muzyki. Zarówno Poznań (kościół Wszystkich Świętych) jak i Kraków (słynne oratoria lub wieczory kolęd w kościele Mariackim) posiadają stałe — organizowane sporadycznie — muzyczne misteria religijne, gromadzące zawsze tłumy chętnych słuchaczy. Niezniszczone organy katedry oliwskiej stanowią nadal atrakcyjny magnes zainteresowania prawdziwych melomanów, jak i szerokich rzesz.

Nie dziw więc, że zapowiedziany na 28 czerwca br. gościnny występ — 60-osobowego poznańskiego chóru im. ks. dra Gieburowskiego w katedrze oliwskiej ściągnął nadspodziewanie tłumny „komplet" słuchaczy, stanowiąc piękną oprawę trwających właśnie na Wybrzeżu „Dni Morza".

Przed słuchaczami powstały z grobów perełki muzyki kościelnej, kryjącej w sobie niezmierne bogactwa wzruszeń, choćby taki drobiazg jak przejmujące „Crucifigatur — Eli, Eli" — kompozytora węgierskiego G. Deakbardesa na cztery głosy mieszane. Z repertuaru żelaznego chóru usłyszeliśmy — tak dobrze brzmiące nam jeszcze w uszach pod wytrawną batutą zgasłego podczas ostatniej wojny nieodżałowanej pamięci ks. dra Gieburowskiego — Kyrie z „Missa Papae Marcelli" — G. P. da Palestriny, „Ego sum pastor bonus" — Wacława z Szamotuł, „Viderunt omnes fines terrae" Mikołaja Zieleńskiego a zwłaszcza skoczne i przejrzyste w prowadzeniu linii głosowych

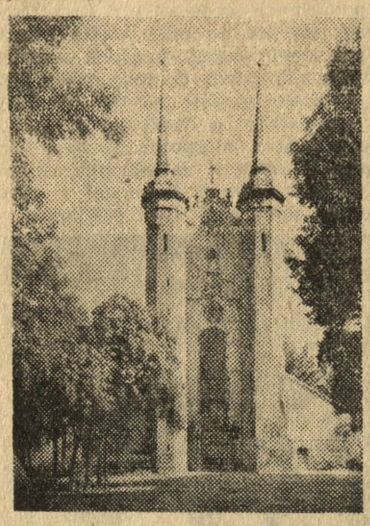

Fasada frontowa Katedry w Oliwie wraz z strzelistymi hełmami obu wież, które w czasie ostatniej wojny uległy zniszczeniu

oraz w pełni dźwięku „Exultate Deo" — Scarlatti'ego (XVIII w.), które na równi z Alleluja z oratorium „Mesjasz" — Haendla i „Laudate Dominum" — Gounoda z towarzyszeniem organów — zatapiały słuchaczy w nastrój zaczarowanej mistyki. Subtelna w swej prostocie „Pieśń o Wniebowzięciu" — Tadeusza Szeligowskiego otworzyła w drugiej części programu nowe horyzonty dla doznań emocjonalnych.

Dostojne preludium i fuga Es-dur J. S. Bacha oraz potężny finał L. Vierne'a złożyły się na pełnię artystycznych przeżyć a prof. Pawlak wykazał raz jeszcze na organach nieprzeciętne opanowanie tego trudnego instrumentu. Z niemym podziwem odprowadzali słuchacze „słowiki" poznańskie, wdzięczni za blisko 2-godzinną ucztę artystyczną.

Pierwsza ta powojenna na większą skalę impreza chóru sprawiła dużą niespodziankę artystyczną i każe przypuszczać, że śpiewaczy ten zespół jest na najlepszej drodze do wyżyn doskonałości. Zainteresowanie się kompetentnych czynników stołecznych pracą chóru wskazuje, że przez pierwsze kontakty zagraniczne (projektowany wyjazd do Czech!) skonfrontuje on należycie osiągnięte rezultaty z wzorami zagranicznymi — i stanie się najlepszym „ambasadorem" muzyki polskiej wśród obcych. Pielęgnowanie tych samych ideałów, które przyświecały pracy śp. ks. dr Gieburowskiego powinno być ambicją artystyczną wskrzeszonego szczęśliwie (z inicjatywy Stefana Stuligrosza) chóru Jego imienia oraz kulturalnego Poznania. Włączenie w program wykonawczy mistrzów muzyki słowiańskiej winno uzupełnić dalsze wykształcenie muzyczne, zarówno chłopców jak i dorosłych, aby przez ciągłe ćwiczenia w śpiewie „à capella" oraz rzetelne studium klasycznych mistrzów polifonii wokalnej podnosić kulturę i ostrzyć inteligencję muzyczną.

WITOLD DEGLER

W TRAWIE I SŁOŃCU ..

Nad wodą, w którą runął błękit,
w ciszy południa skwarnej —
leżę w trawie pachnącej wytchnieniem.

Opodal jaśminów pęki,
mocną wonią ciężarne,
które w domu na wiersze przemienię.

Tylko w górę wyciągnienie ręki —
a niebo i ziemię
jednym ramieniem przygarnę!

Słońcem na wznak powalony,
chwalę jego zwycięstwo
wspaniale bezwładnym lenistwem.

Nie było przed słońcem obrony,
więc cieszę się moją klęską
w trawie puszystej.

Świat w bezmyślności utonął
i znieruchomiał wszystek
w tej ciszy bez sensu.

Tylko raz po raz po niebie
ciągnie za sobą lotny tren przestrzeni
chmurka maleńka i biała.

Próbuję myśleć Nie mogę. Nic nie wiem.

W ulewie słonecznych promieni,
w błogim omdleniu ciała.

Nie myślę o znoju ni chlebie.
Choć mi na plecach legła ziemia cała,
nie czuję ciężaru ziemi.

STANISŁAW BĄKOWSKI

Jaśminowe popołudnie

Ziemią dwakroć tak zielono
jak ranną godziną;
niebem dwakroć niebiesko,
dwakroć obłokami biało.

Białych źrenic jaśminu
uścisk pachnący
wokół nas się owinął.

Za grabami przystanek
ciemnej głębi rzecznej;
skoczny tam błyska taniec
zwierciedleń słonecznych.

W wysokim złotym zalewie
utonął czas.

Pod białe słońce wzleciał
czarny ptak i ... rozwiał się
jak ponura melodia.

Smutek popatrzał raz
w te błyszczące oczy popołudnia,
zabolało go — uszedł ...
w ciemność, w głuszę.

ZOFIA STEIN

DZBAN

Wodę ze źródła niosę
W skorupie rozbitego dzbana.
Zazdrośnie
Dla siebie i swoich
Chroniłam pełny dzban.
Wytrącił mi go z ręki
Pocisk wroga, może przyjaciela.

Wodę ze źródła niosę
W skorupie rozbitego dzbana —
Nie wiem, dla kogo ją niosę,
Czy jeszcze zastanę swój dom.

Na mojej ręce siadł i pije wodę
Ptak.

Archeolodzy - pionierzy

Służący nauce „Korpus rydla i motyki" — jak się często określa archeologów — nie ustaje na chwilę w swej często uciążliwej pracy, zapuszczając się w najodleglejsze zakątki naszego globu w poszukiwaniu śladu wyginionych zwierząt, ludzi i cywilizacji. Oto kilka niedawnych osiągnięć garstki niestrudzonych kopaczy:

W Luksorze w Egipcie, grupa archeologów z Uniwersytetu w Chicago, od szeregu lat zaangażowana jest w żmudnym usuwaniu tynku, jakim pokryte są niektóre ściany wnętrza świątyni Ramzesa Trzeciego. Świątynia obfituje w oryginalne staroegipskie płaskorzeźby, które były przez Egipcjan utrzymywane w odpowiedniej konserwacji. Gdy Egipt przyjął wiarę chrześcijańską, świątynia ta została zamieniona na kościół katolicki. Ówcześni wtedy chrześcijanie pozbawili uwidocznionych na płaskorzeźbach bogów głów i stóp, a uważając je za dzieło diabła, pokryli grubą warstwą piasku i mułu. Wspomniana grupa archeologów zajmuje się usuwaniem niemal ziarnko po ziarnku tynku z płaskorzeźb, odkrywając ciekawą kolekcję starożytnych bożków bez głów i stóp świetnie skądinąd zakonserwowanych. Stan ich w ogóle nie sprawia wrażenia, że istnieją już od szeregu tysięcy lat.

Inne cenne zabytki pozostawione przez ludzi starożytności ukryte są tym razem nie w tynku, a w zagadce nieznanego jeszcze dotychczas, nieodszyfrowanego języka. Hityci (synowie biblijnego Heta), panujący w najwcześniejszych czasach biblijnych małej Azji, pozostawili potomności kute w kamieniu napisy, tak liczne i tak w swojej rozpiętości rozległe, że według teorii uczonych na pewno sugerują one i zawierają w sobie wiele tajników historii starożytnej. Ale ponieważ archeolodzy absolutnie nie posiadali właściwego klucza do odszyfrowania nieznanych hieroglifów, zmuszeni byli zdać się na cierpliwość i ewentualność jego przypadkowego odnalezienia.

Ubiegłej jesieni, grupa odważnych tureckich kopaczy, prowadząc prace wykopaliskowe — zapuściła się w gęsty, roiący się od bandytów las Południowej Anatolii gdzie odkryła pałac królewski Hitytów, ze szpalerami kamiennych dwugłowowych byków. Między rzeźbami — kopacze natrafili na od dawna poszukiwany klucz w postaci trzydziestu wielkich kamieni zawierających poziome napisy w hieroglifach Hitytów i w języku wczesno-fenickim, tj. w znanym już, odszyfrowanym języku semickim. Pierwsze słowa starożytnego języka należące do króla Asitawandasa — sługi Baala i sławiące jego własną osobę, nie stanowiły dla uczonych specjalnie interesującego odkrycia. Ważnym natomiast dla nich był fakt ustalenia klucza do nowo-odkrytego języka. Dało to uczonym asumpt do przypuszczeń i niemal pewności, że i inne napisy dające się obecnie przeczytać, odkryją nieznane szczegóły historii synów Heta, którzy walczyli z Egipcjanami, i mieszkańcami Mezopotamii w okresie, o którym nauki i historia wie jeszcze bardzo niewiele.

Cennymi dla archeologów obiektami badań są barwne rysunki pokrywające ściany południowo-afrykańskich jaskiń — niektóre wykonane przez Buszmenów, inne pochodzące z ery znacznie wcześniejszej. Francuski archeolog Abbé Henri Breuil szczególnie faworyzuje teorię „ery wcześniejszej". Znalazł mianowicie w jaskiniach gór Drakensbergu, rysunki ludzi, którzy na pewno nie byli Buszmenami. Nosili oni długie togi o trójkątnych znakach i postrzępionych brzegach. Na ramionach nosili kołczany. Po przestudiowaniu rysunków — romantyczny archeolog zadecydował, że przedstawiają one starożytnych Sumeryjczyków, którzy przed kilkoma tysiącami lat wywędrowali do południowej Afryki, pozując tam tubylczym portrecistom.

W odległych górach południowo-zachodniej Afryki znajduje się inne ciekawe malowidło na kamieniu — odkryte w roku 1917 przez Niemców — które uczony francuski również przestudiował. Centrum wspomnianego rysunku zajmuje kobieta przyodziana w obszerne szaty, co nigdy nie leżało w zwyczajach Buszmenów. Według opinii Henri Breuil rysy przedstawionej niewiasty są europejskie, a ubiór przypomina kostium noszony w swoim czasie przez żeńskich toreadorów starożytnej Krety — ojczyzny Minotaura. Trudno wytłumaczyć przyczyny zjawienia się takiej osoby w południowej Afryce, w każdym razie wiek malowidła oceniany jest przez uczonych na co najmniej **4000 lat istnienia**. Natomiast znany buszmenolog — Dorota Bleek, występuje z zastrzeżeniami przeciw tej koncepcji. Po zapoznaniu się z reprodukcją malowidła oświadczyła, że nie jest ono tak stare, jak również nie zgadza się z twierdzeniem, że figura centralna rysunku, jest postacią ze starożytnej Krety. Najprawdopodobniej rysunek przedstawia misjonarkę wysłaną przez jakąś gorliwą kongregację misjonarzy celem niesienia oświaty (i pozowania portrecistom) Buszmenom.

E. Sz.

Sukcesy zespołu Domu Wojska Polskiego

(Fot. — Dom W. P.)

Po sukcesach artystycznych na Dziedzińcu Arkadowym Wawelu, Zespół Domu Wojska Polskiego wystąpi we Wrocławiu w czasie Wystawy Ziem Odzyskanych. Na zdjęciu duet z baletu klasycznego „Gioconda" w wykonaniu H. Maculewicz i Wł. Milona

K. MIŁKOWSKI

En avant

André Martin stoi przy swojej tokarce jak codziennie. Obok maszyny leży stos części przywiezionych z kuźni do przeszlifowania.

— Oh là, là — mruczy André — duża robota. Nie wiem czy zdążę...

— Czy wiesz — woła sąsiad z prawej strony, niski, krępy René. — Czy wiesz — stara się przekrzyczeć szum transmisji — na mieście rozklejają afisze. Mobilizacja powszechna. Aux armes citoyers — śmieje się łyskając bielą zębów wśród śniadej twarzy południowca. — Pójdziemy! To o nasze roczniki chodzi...

— Nie wierzę. Zacne „Usines metalurgiques" nie puszczą nas. Nie pójdziemy. Zobaczysz! — przysuwa suport do wirującej sztabki metalu. Za chwilę ostry ząb wżera się w gładką połyskliwą powierzchnię. Tasiemcowe spirale opiłek skręcają się na ziemi pokornie, i układają się w stos, który szybko rośnie.

Przerwę obiadową ogłoszono dziś wcześniej niż zazwyczaj. Stary inżynier, Maximilian Morand przemawia do sali. Tokarka André'go znajduje się w ostatnim rzędzie. Chłopak wspina się na palce, żeby lepiej słyszeć. Chwyta tylko pojedyncze wyrazy. Stary Morand ma już głos osłabiony.

— Wszyscy do montowni... Ostatni zapas... Tydzień czasu... Ofensywa w Holandii... Już w Amsterdamie...

— Oh là, là — rzuca przejęty André, choć nie jest pewny czy dobrze zrozumiał.

Morand zaczyna mówić o nowym zarządzeniu mobilizacyjnym, nie może jednak skończyć, gdyż jęki syren alarmowych spędzają wszystkich do piwnic pod halami. Na górze pozostaje stygnący posiłek robotniczy. Miasto przeżywa nalot.

Nazajutrz André nie stoi już przy tokarce. W wielkiej podłużnej hali montowni przykręca pośpiesznie części hamulców Westinghouse'a do stojących w rzędzie, czyściutkich jeszcze wagonów. René, gryząc nerwowo krótką fajeczkę, krząta się z blaszanką farby i szablonem. Klnie, chlapie farbą dookoła i smaruje przez szablon na każdym wagonie — „40 hommes — 8 chevaux". Tokarki stoją osamotnione. Jutro, pojutrze załaduje się je na dziewicze wagony. Pojadą na południe.

André dokręca ostatnie śruby na końcu pociągu.

— C'est le dernier... — krzyczy triumfalnie do majstra. Skończone!

Chwyta jeszcze ostre dłuto i na miękkiej blasze ochraniającej korbę hamulca wyciska litery: André Martin, Nancy, Mai 1940.

Inżynier Morand biega wzdłuż wagonów i popędza robotników. Już lokomotywy podane. Teraz jak najśpieszniej przetoczyć wagony do innych hal.

— Najpierw ładujemy frezarki, potem nitowniki i urządzenia do spawania. Spieszcie się dzieci! Anvers est prise! Pracujemy dziś całą noc...

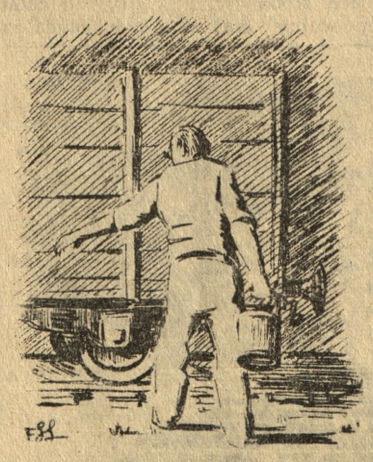

Jeszcze jeden dzień i jedna noc zeszły nad światem, „Usines metalurgiques", a przynajmniej ich najcenniejsza część, ścieśniona w skrzyniach wagonów, tłucze się między stacjami, zatłoczonymi wszelakimi transportami wojskowymi. André pozostał. Dwadzieścia cztery godziny później listonosz, znany w całej dzielnicy piwosz, przyniesie mu barwną kartę z powołaniem.

Aux armes citoyens!...

*

Na przedzie klekocze stara, roztrzęsiona lora węglowa. RBD — Wuppertal. Deski są roztrzęsione i jeszcze tysiąc kilometrów, a pudło rozleci się. Za nią mieści się anemiczny, lecz zdrowy zupełnie wagon Ferrovie dello stato — F. S. — Italia. Mało naoliwione bufory skrzypią, urażone brakiem dystyngowanego towarzystwa. Węglarka jakaś... Stary gruchot do tego. Proszę tylko pomyśleć... Z drugiej strony można wytrzymać. Długa platforma P. K. P. z widocznymi jeszcze bliznami z trzydziestego dziewiątego. Zaszyli rany czystą sosną gdzieś tam w warsztatach w Pruszkowie, czy w Tarnowie. Niepomalowane jeszcze deski na czerwonym tle przypominają plaster z opatrunkiem. Już się wygoiło. Można znowu walić tony i cetnary w drewnianą skrzynię. Dziś nie wolno próżnować. Räder müssen rollen für den Sieg!

Dalej znów R. B. D. — ta czy inna. Villach, albo Stuttgart. Mniejsza o to. Jednostajną czerwień, przybrudzoną pyłem pracy mącą pośrodku składu dwa wagony odmienne cerą oblicza. Drobnicowa piętnastotonówka ponurej, ciemnozielonej barwy, znaczona wielką, białą literą N w białym kole. Neederlande. Czuć od niej zapach śledzi. Jeszcze niedawno, napęczniała dziesiątkami słonych beczek, kursowała równomiernie i dostojnie pomiędzy Rotterdamem a Bredą. Drugi to, śniady południowiec, odbijający świeżością blaszanych ścian, sześcioosiówka SNCF France-Nord, również zielona w ciemniejszym odcieniu. Za nią znów czerwień w różnych mniej lub więcej brudnych odmianach.

Na końcu olbrzymiej, ruchomej glisty znaczy się bardziej świeżym akcentem zieleni mała platforemka ze znakiem Hungaria.

Międzynarodowe towarzystwo zaznajamia się wzajemnie. Już po kilkunastu godzinach podróży we wspólnym składzie wiadomo, że Holenderka najgłośniej stuka na rozjezdnicach, a deski wuppertalowskiej lory trzeszczą bolesnie przy gwałtowniejszym zahamowaniu. Z największą dystynkcją zachowuje się Francuzka. Jest zresztą w pełni elegancka. Maquillage fabryczny nie zdążył jeszcze ucierpieć. Nie ma odprysków farby, nie ma pogiętych blach, nie ma zadzirów w podłodze.

— Ta jeszcze nie zaznała wojny — wzdycha z zazdrością inwalida PKP.

Hungarię cechuje brak powagi. Może dlatego że jest najmniejsza i jedzie na końcu. Przy lada skręcie chwieje się na boki i stuka na złączach szyn. Nikt zresztą nie zwraca na nią większej uwagi.

W miarę drogi przybywa ciężaru. Boleśnie jęczy platforma pod niezgrabną masą żelaziwa czołgu. Jeszcze pół biedy ze skrzyniami amunicji. Te leżą

Polacy na szlakach świata

Adam Mierosławski
— zapomniany żeglarz polski

Społeczeństwo wielkopolskie zna z okresu „Wiosny Ludów" postać Ludwika Mierosławskiego, dyktatora, którego rola w ruchu rewolucyjnym spotkała się z krytyką zarówno współczesnych mu, jak i dzisiejszych historyków. Niesłusznie zapomniało notomiast o bracie wyżej wymienionego, który zasługuje stanowczo na wspomnienie jako jeden z nielicznych w połowie XIX wieku żeglarzy i demokratów polskich.

Adam Mierosławski urodził się w 1815 r. na Mazowszu, zmarł zaś w 1851 r. na statku, płynąc z Australii do Afryki. Niedługi żywot — w sumie 36 lat — obfitował jednak w szereg niezwykłych wydarzeń i paradoksów tak, że byłby wdzięcznym tematem do powieści o typie podróżniczo-politycznym.

Młodszy brat dyktatora był uczestnikiem dwóch ruchów wolnościowych. Jako 15-letni chłopak uciekł już ze szkoły kadetów i zapisał się do armii powstania listopadowego. W 1831 r. broni Woli wraz z generałem Sowińskim, otrzymuje ranę i srebrny krzyż zasługi, dostaje się do niewoli rosyjskiej, ale z niej ucieka.

Powyższy skrót wypadków ujawnia już niezwykły temperament Adama jako młodzieńca. Temperament ów pozostanie i przejawi się znowu w działalności naszego rewolucjonisty w 1848 roku.

Młodszy Mierosławski zjawia się w Paryżu po przebyciu odległej drogi ze samego środka Oceanu Indyjskiego. Ma ze sobą pieniądze, które postanawia obrócić na poczynania rewolucyjne, organizowane przez swego brata. Walczy też przy jego boku na Sycylii i w Badenii. Koło Catanii zabiera rannego Ludwika z pola walki i ratuje przed niewolą. W Niemczech organizuje obronę Renu i ubezpiecza odwrót wojsk rewolucyjnych przed Prusakami.

Na Sycylii powstańcy powierzają Adamowi organizację floty wojennej, która by przeszkadzała ruchowi żeglugowemu nieprzyjaciela w zatoce Neapolitańskiej. Na dzieło to nie ma jednak pieniędzy i materiału, powstają spory pomiędzy żywymi naturami południowych Włochów i niemniej żywą Polaka. Bo przecież floty wojennej nie można improwizować, tworzenie jej wymaga czasu, cierpliwości i ciągłości.

Dwa dalsze plany morskie w 1848 r., których wykonawcą miał być Adam Mierosławski, nie dochodzą do skutku, raz z powodu bezwzględnej przewagi na morzu reakcyjnych państw oraz ścisłej kontroli szlaków morskich, drugi raz z powodu spóźnionej decyzji. W obu wypadkach chodzi o przerzucenie na pojedynczej jednostce morskiej z Marsylii na brzeg dalmatyński oficerów i ochotników do powstania węgierskiego. W ruchach wolnościowych Adam nie miał niestety walczyć jako marynarz. A był przecież jednym z najbardziej znanych żeglarzy na świecie.

Paradoksalną można by nazwać ambicję Adama kierującą go do portu Nantes we Francji. Bo nie był to człowiek ani fizycznie odpowiadający trudnym warunkom żeglugi morskiej, ani psychicznie przygotowany do zawodu żeglarza. Miał jednak żelazną wolę, która przemogła wszystkie trudności. Dała mu przede wszystkim cierpliwość i wytrwałość, od których zależało stawianie pierwszych kroków na pokładzie. Mierosławski jako kapitan operował przede wszystkim na oceanie Indyjskim, gdzie odkrył zapomniane od 300 lat wyspy New Amsterdam i St. Paul, polował na foki i wieloryby, zajmował się poławianiem pereł. Głównie jednak uprawiał handel wymienny z ludami kolorowymi i właśnie tutaj dał się poznać jako człowiek pozbawiony przesądów rasowych, chciwości i chęci wyzysku. Ludzkie podejście do krajowców, sprawiedliwość i moralność postępowania jednały Mierosławskiemu szacunek i miłość biednych kolorowych wyspiarzy, skazanych na łaskę i niełaskę Europejczyków. Polak pobił w szlachetnej rywalizacji Anglików i Francuzów i w tym może być uważany za prekursora nowych ruchów, zmierzających do usunięcia instytucji form kolonialnych. Swoje radykalne poglądy manifestował Adam także w Paryżu, występując odważnie w teatrze przeciw antyrepublikańskim tendencjom w pewnej komedii.

Obraz Mierosławskiego, demokraty-żeglarza, nakreślony tutaj szkicowo ukazuje szerokie możliwości tematyczne dla powieściopisarzy. Byłoby rzeczą bardzo pożyteczną wzbogacić naszą literaturę marynistyczną pozycją tego rodzaju.

Józef Modrzejewski

35-lecie Teatru Polskiego w Warszawie i 40 lecie pracy scenicznej dyr. Arnolda Szyfmana

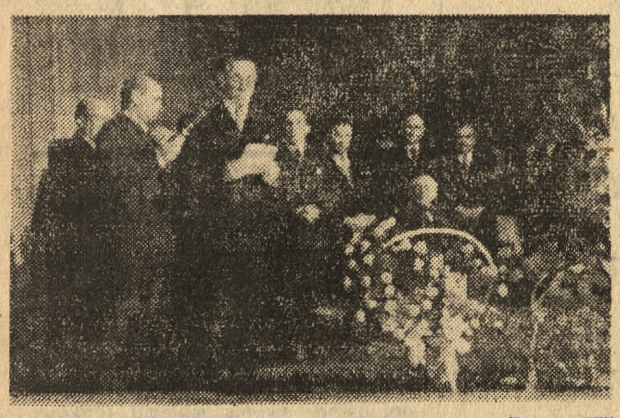

Scena Teatru Polskiego w Warszawie była niedawno miejscem podwójnego jubileuszu, gromadząc na przedstawieniu „Fantazego" — Słowackiego najwyższych przedstawicieli władz z Prezydentem RP na czele oraz najwybitniejszych artystów teatru. — Zdjęcie obok przedstawia uroczysty moment, kiedy to dyr. Szyfman wygłasza przemówienie podczas swego jubileuszu.

Fot. „API"

Przegląd kulturalny

Ponieważ nasze ekipy artystyczne w przeważnej części rozjechały się lub zamilkły na czas letni — zająć się dziś możemy mniej efektowną ale bardziej trwałą dziedziną kulturalną, mianowicie książką. W wydawniczych instytucjach praca nie ustaje. 1 instytucja wydawnicza państwowa i 7 większych prywatnych w Poznaniu wciąż nowe książki na rynek rzucają.

Państwową jest Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza. Przejęła ona większą część wielkiej firmy przedwojennej: św. Wojciecha. Szeroki jest zakres tematów, którymi się interesuje: literatura piękna, nauki ścisłe, historia, książki szkolne, fachowe z różnych dziedzin, humanistyka itp. A oto kilka nowych pozycyj ciekawych dla szerszego ogółu: J. Bieniasz: „Edukacja Józia Barącza", Z. Grabski: „Saga o Jarlu Broniszu" w 3 tomach, H. Malewska: „Kamienie wołać będą", J. Parandowski: „Trzy znaki Zodiaku" i inne.

Z prywatnych wdawnictw przede wszystkim wymienić należy Instytut Zachodni, zajmujący się problematyką Ziem Zachodnich opracowywaną naukowo. Wydaje książek niedużo, ale każda z nich stanowi poważną pozycję naukową, niektóre otrzymały nagrody, a oto kilka spośród ostatnich: J. Kostrzewski: „Kultura Prapolska", K. Tymieniecki: „Dzieje Niemiec", monografia: „Dolny Śląsk" pod redakcją Sosnowskiego i Sucheckiego i „Monografia Odry" pod redakcją: Grodka, M. Kiełczewskiej-Zalewskiej i A. Zierhoffera.

Wydawnictwo Ziem Zachodnich, własność Zachodniej Agencji Prasowej (Spółdzielnia dziennikarska) o wybitnym ideologicznym typie zajmuje się również problematyką Ziem Zachodnich, ale traktuje ją szerzej i bardziej w kierunku popularnym, choć w katalogu swym posiada także książki specjalne dla znawców zagadnienia. Wśród kilkudziesięciu pozycyj, którymi poszczycić się może wymienić należy kilka świeższych: L. Sieciechowiczowa „Tęczu nad Wagiem" (dla młodzieży) .St. Sulima: „Ziemia odnalezionych przeznaczeń", W. Supiński: „Od Westerplatte do Hiroszimy", W. Wnuk: „Walka podziemia na szczytach".

Ambitnym wydawnictwem jest Księgarnia Ziem Zachodnich która poszczycić się może repetytorium: Romana Pollaka: „Polskie życie literackie przed rozbiorami" i Szweykowskiego: „Sylwety Literackie". Poza tym ma w dorobku K. Wojciechowskiego: „Dzieje Literatury Polskiej" i ona też dała Polsce pierwszą powieść traktującą problem repatriancki, przez młodego i zdolnego autora napisaną E. Paukszte: „Trud ziemi nowej".

Wydawnictwo Księgarni św. Wojciecha Albertinum choć w zmniejszonych ramach, istnieje i pracuje nadal owocnie zajmując się jak zawsze tematyką religijną, a przy tym dobrą beletrystyką i książką dla młodzieży. Obecnie wznawia ono tzw. „Klub jasnych książek", który co miesiąc przyniesie dobre interesując dziełko.

„Zdzisław Gustowski" znana i poważna firma przedwojenna, drukuje specjalnie powieść i to pozycje łatwe, poczytne, a dobre np. J. Dobraczyński: „Wybrańcy Gwiazd", Kisiel: „Zbrodnia w dzielnicy północnej". Poza tym drukuje i książki naukowe.

Księgarnia „Wilaka" specjalizuje się w wydawnictwach naukowych, prawniczych, gospodarczych, statystycznych.

Podobny zakres działania ma Narodowy Instytut Postępu, który posiada w swym katalogu 8 pozycyj naukowych z różnych dziedzin.

Tak więc nie ulega wątpliwości, że Poznań dokłada silną cegiełkę do wielkiego pomnika kulturalnego zwanego „polską książką".

Teatr z bajki i bajka w teatrze

Kukiełki znane były od bardzo dawnych czasów. Któż wie na pewno skąd bierze się ich początek. Może szukać go należy w klasycznym teatrze greckim, kryjącym twarz aktora za charakterystyczną maską, może pochodzą ze średniowiecznych misteriów, a może jeszcze z przedhistorycznych czasów.

Najbardziej spopularyzowała się lalka — kukiełka na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to we wszystkich krajach pod różnymi imionami weszła triumfalnie na zabawy ludowe, do bud jarmarcznych kuglarzy, na stragany pyskatych przekupek. Angielski Punch, włoska Pulcinella, czeski Kasparek, francuski Gugnel, rosyjski Piotruś i ukraiński — Wańka — takie to było wesołe rodzeństwo, mające za zadanie zabawić dzieci i dorosłych. Coraz dowcipniejsze i bardziej charakterystyczne były ich formy zewnętrzne, coraz bardziej pomysłowe teksty towarzyszyły ich pokazom.

Obrazcow wraz z jedną ze swoich kukiełek

Po pierwszej wojnie światowej lalka otrzymuje własny teatr i staje się primadonną sztuki. Oczywiście kukiełkami posługują się przede wszystkim teatry dla dzeici, ale i dorośli entuzjazmują się teatrem marionetek.

Kukiełki satyryczne, kukiełki ludowe, kukiełki egzotyczne — cały ten świat z drzewa, masy, drogocennych niekiedy materiałów, żyje własnym życiem.

Najwięcej w tej dziedzinie dokonały teatry radzieckie. Przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej było tam już 200 teatrów kukiełkowych. Przeważnie przeznaczone one były dla dzieci. Dlatego też wielkie subsydia jakie rząd tym teatrom udzielał, wchodziły w zakres budżetu opieki nad dzieckiem.

Jednym z najwybitniejszych teatrów tego typu nie tylko w ZSRR, ale na świecie jest teatr Obrazcowa, który 25 lat pracuje już w tej dziedzinie.

Jako młody malarz zaczął tworzyć kukiełki, ku zgorszeniu swojej rodziny i starszych krewnych, którzy uważali to za niepoważne zajęcie. Ze świetlicy Domu Studenckiego, w którym rozpoczął swą działalność artystyczną szybko przeszedł do sal koncertowych, do klubów robotniczych, do szkół i szpitali Wszędzie przyjmowany był entuzjastycznie. Jego kukiełki wraz z całym zespołem artystów, muzyków, rzeźbiarzy, objechały wszystkie niemal miasta ZSRR.

Państwowy Centralny Teatr Lalek posiada muzeum, w którym można oglądać najróżnorodniejsze kukiełki, pochodzące z różnych epok i krajów. Nic więc dziwnego, że w przerwach między przedstawieniami, widzowie mali i dorośli z zachwytem oglądają ten zaczarowany pałac wyobraźni.

Dwa razy dziennie odbywają się przedstawienia dla dzieci i raz dla dorosłych. Cechą charakterystyczną wystawianych sztuk jest absolutne zatarcie granicy między rzeczywistością, a światem dziwów. Nie operuje się tam sztucznymi efektami. Publiczność naprawdę widzi ludzi i zwierzęta w takiej postaci i rozmiarach, jakie od lat wyobraźnia zakreśliła dobrze znanym wielu pokoleniom postaciom — jak „Kot w butach", „Alladyn", „Kopciuszek" itd.

Teatr Obrazcowa wspaniale operuje wielkością lalek, aby stworzyć wrażenie perspektywy. W sztuce Kiplinga „Moowgli" niedźwiedź waży 8 kg, wąż Pyton mierzy 3 metry z górą długości itd.

Powiedzieliśmy już, że teatr kukiełek przekreśla granicę rzeczywistości i baśni. Stwarza on jak gdyby inny wymiar pojęć — całkowicie bezosobowy. Przykład: — w bajce „Kopciuszek" grana w teatrze „ludzkim" rola nabiera cech indywidualnych danego aktora i to zarówno w sensie zewnętrznego wyglądu jak i osobowości wpływającej na interpretacje — w teatrze lalek mamy do czynienia z czystym pojęciem abstrakcji — zła macocha jest wcieleniem złości, miłość, zazdrość, bohaterstwo występują na scenie jako symbole.

W Związku Radzieckim nie ma sztuki elitarnej. Toteż teatr lalek służy wszystkim, umiejąc do wszystkich trafić i do każdego zastosować swój charakter.

Teatr Obrazcowa oddał olbrzymie usługi na froncie w czasie wojny. Jego aktorzy trwali niewzruszeni na najdalej wysuniętych pozycjach, przynosząc żołnierzom największy dar — beztroski uśmiech dzieciństwa. Taką samą rolę spełniał teatr kukiełek w szpitalach.

Długą drogę przeszły opowieści snute ciemną nocą przy łuczywie w ciemnej rosyjskiej, białoruskiej wsi, w tunguzkim, czy tadżyckim namiocie — do dnia dzisiejszego, kiedy w realizację baśniowej wizji wprzęgnięte są talenty malarzy, artystów, rzeźbiarzy i muzyków.

Osiągnięcia Teatru Obrazcowa powinny stać się bodźcem do szerokiej realizacji polskich teatrów kukiełek, obrazujących ludowe podania, klechdy i poetyckie baśnie, których tyle żyje w naszej kulturze i tradycji. **H. Z.**

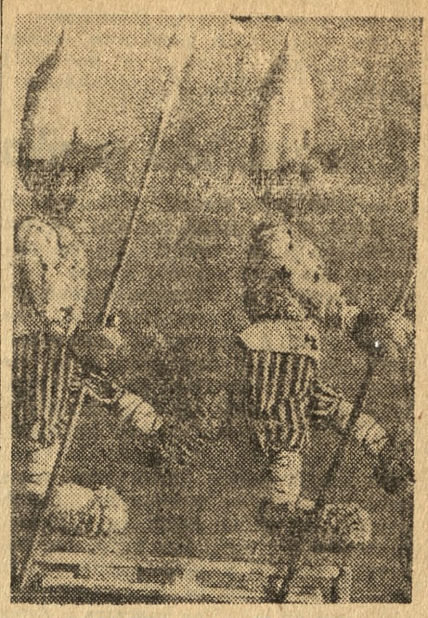

Kukiełki z teatru Obrazcowa

przynajmniej spokojnie, doceniając swą powagę. Kuchnie polowe rozlokowane w środkowych częściach składu, przymocowane nietrwale, stukają za lada wstrząsem, kolebią się i chrzęszczą monotonnie.

Lokomotywa przyśpiesza biegu. Jeszcze setki kilometrów do przebycia. Nach Osten wollen wir reiten! Nach Osten!

Śnieżną mamy zimę w tym roku. Trzy ubiegłe zimy wojenne były mroźniejsze. Ta jest bardziej śnieżna. Kurczą się osie. Szronem pokrywają się sztaby i łańcuchy. Na ciemno zielonej blasze francuskiej z Nancy osiadają liczne kropelki lodu. Wiążą się, spajają w jedną pokrywę lodową na dachu i na ścianach. Lokomotywa blisko. Skroplona para pada na bliższe wagony i dostarcza tworzywa na płaszcz lodowy.

Dziwi się dostojna Holenderka długiej drodze. Kto przez całe życie dreptał między Bredą a Rotterdamem, zachłyśnie się teraz przestrzenią. Obszerna jest Festung Europa.

Przenikliwie jęczą sieci drutów wzdłuż torów, wstrząsane lodowym powiewem, napęczniałe szronem. Jest noc jasna, gwiaździsta. Jest cisza. Przerywa ją jedynie zadyszane sapanie lokomotywy. Na wschód!

*

— Co parę miesięcy nowy język Uff! C'est trop — stęka André, brnąc po kolana w grząskim, pulchnym śniegu. — Qu'est ce que c'est: Naprzód! — En avant, Matole — rzuca towarzysz nieskwapliwym mruknięciem. — Już ci mówiłem...

— Oh là, là... En avant, Dopsze.

Idą znów chwilę w milczeniu. Za nimi majaczą w mroku dalsze postacie. Między drzewami sączy się metaliczna poświata księżycowa i kładzie się na miękkim śniegowym posłaniu. Zamrożony las. Korony drzew obawiają się zbyt głośnym szumem zamącić ciszę.

André zapełnia czas marszu bezgłośnym monologiem.

— En avant! Najpierw było en avant. Słyszałem to dziesiątki razy w Ardennach. Pod linią Maginota wreszcie. Cóż. Słowo słowem zostało. Jedynie życie idzie naprzód. Myśmy stanęli.

— Potem była przerwa. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest en avant, a gdzie en arierre. Mało kto krzyczał. Chyba o chleb, lub o pracę. Les Boches krzyczeli na nas.

— Potem Doriot wszedł na trybunę i krzyczał en avant, pokazując ręką na wschód. Cóż było robić nam młodym bez pracy. Poszliśmy. I tak groził wyjazd. Nie chciałem pracować u Boszów. Wolałem legion.

Z przeciążonej gałęzi spadła gruba okiść śniegu i obsypała mu czapę. Wzdrygnął się. Białe okruchy tajały na karku.

— En avant skończyło się, gdyśmy przyjechali na miejsce. Doriota zastąpili inni. Ci wołali „Vorwärts!". Nie lubię łamać języka. Uciekłem...

W pamięci migocze wiązka obrazów, wirujących wokół siebie, nawzajem.

Symulacja choroby. Lazaret. Ucieczka pociągiem, który nie szedł en avant.

A potem Varsovie. To prawie jak chez nous. Obijanie się z zaułka w zaułek przez wiele głodnych dni. Strach przed tym śmiesznym, syczącym słowiańskim językiem. A naokoło i ponad wszystkim les Boches. Sacrebleu!

Mała kawiarenka w ciemnej uliczce. Młoda dziewczyna o spokojnym uczciwym wzroku. Jej można powiedzieć prawdę. — Uciekłem!

Las przerzedzał się. Zza ostatnich drzew wyjrzała na tle postrzępionych koron drzew, na tle rozrzuconych krzaków, regularna ciemna wstęga. Tor kolejowy! Słupy telegraficzne rozedrgane jękliwym śpiewem drutów. Milcząca obcość zamarzniętych szyn.

— Potem już szło szybko. M'sieu ...cki — karteczka. M'sieu ...ski — karteczka. Czyjaś ręka podaje bilet kolejowy. A demain André!... Dziewczyna o spokojnym wzroku — u nas takie są rzadkością — dotrzymała słowo. Odprowadza na dworzec. W rękę wciska paczkę z żywnością i sweter. Adieu la belle Polonaise.

— A potem las.

Teraz jesteśmy w lesie. Ciemne, grube pnie są pewno oburzone na intruzów, którzy drepczą koło toru. Wielki, ciemny las. Takich u nas nie ma.

Beznadziejnie żałosny, osamotniony świst lokomotywy w nieokreślonej dali. Dusza wzdryga się przed tym jękiem opuszczenia i rezygnacji.

— André. Naprzód! Już idzie. Trzeba kiszkę założyć.

Wspomnienia biegną dalej. Są szybsze niż pociąg, który będzie tu dopiero za dziesięć minut.

W lesie mówią często „naprzód", zwłaszcza ten śmieszny lieutenant Ryś. Śmieje się do André'go i często daje mu komendę po francusku. En avant! Jak w Ardennach. Tylko tu jest inaczej. Lasy są inne, ludzie są inni.

Już klęczy przy torze. Łopatką wygrzebuje dołek w zwirze. koło podkładu.

— Ou est cette, cette... la quichka. Votre kiszka?

Ciężki woreczek przechodzi z rąk do rąk, po chwili spocznie w dołku.

Teraz prędko rozciągnąć druty. Do tamtych krzyków. Już dźwięczą szyny. Słychać sapanie lokomotywy i stukanie kół. Il va. Il s'approche...

Z zakrętu wyłania się tasiemiec wagonów. Kłęby dymu kładą się na konary drzew. Monotonnie skrzypią bufory. Lora węglowa trzeszczy boleśnie chorymi deskami na spojeniach. Ha, starość nie radość. Czas na rozbiórkę. Na końcu składu jednostajny, zharmonizowany turkot mąci niepoważny, młodzieńczy klekot kółek Hungarii. Przy czołgu, na skrzynkach z amunicją, przy niespokojnych kuchniach drzemią w bezruchu zziębłe postacie żołnierskie, okutane w kożuchy.

Vorwärts! Nach Osten!

André skupionym wzrokiem prowadzi roje iskier, wylatujących z dymem

— Déjà — spokojnie łączy dwa obnażone końce drutów. Ten od bateryjki i ten, który wiedzie do kiszki.

Grupka mężczyzn, przytulona pod krzakiem, zastyga w oczekiwaniu. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Grzmot przerwał zimowy sen lasu.

*

Gdy mieszana komisja kolejowo-wojskowa opuściła miejsce sabotażu po sporządzeniu protokołu i powróciła do Lublina, gdy brygady robotnicze zepchnęły poprzewalane wagony z nasypu i uprzątnęły tor, gdy ustawiono nowe podkłady, gdy przewaliła się ekspedycja żandarmerii szukająca sprawców, najbliższej nocy podkradł się André do zakrętu toru. Księżyc świecił jasno. Widać było wyraźnie kawałki desek, rozrzucone śruby, pogięte sztaby. Pod nasypem sterczały szkielety kilku wagonów, obdarte z desek. Suche drzewo rozebrali szybko kolejarze i chłopi z najbliższej wsi. Wiadomo. Pali się jak benzyna.

Stąpając między krzakami po pobojowisku, nadepnął na duży płat blachy, który ugiął się pod nogami i wcisnął w powłokę śnieżną.

André podniósł go do góry. Blask księżyca oświetlił ciemno-zieloną gładką powierzchnię. Cienka warstwa farby popękała w wielu miejscach, ukazując nagi metal. W jednym miejscu widniały litery, wyciśnięte ostrym narzędziem: André Martin, Nancy, Mai 1940.

Teraz jest śnieżna zima 1943...

PIWO napój polski

Między Wartą, Notecią i Gopłem leżała kraina najbardziej rolnicza w Słowiańszczyźnie, od pól szerokich Polską nazwana. Tam więc, gdzie zboża posiadano najwięcej, mógł najdawniej upowszechnić się napój zbożowy. Już za Gallusa krążyły stare podania w rodzie Piastowiczów o cudownym pomnożeniu się piwa u gościnnego Piasta. Chrobry tyle pijał piwa, że Niemcy przezywali go złośliwie piwoszem (Trinkbeer). Z tej okoliczności poeta polski Syrokomla wysunął swój napis na kuflu:

Niemcy nam chcieli zabrać Kopernika,
Z przywłaszczonego odarto ich blasku,
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku,
Ale w Ditmara pismach wystawiona
Pamiątka stara, kronikarska, żywa,
Bolesław Wielki przyjmował Ottona
Kufelkiem piwa.

W jednym z najstarszych dokumentów polskich, w nadaniu królowej Judyty klasztorowi tynieckiemu z XII wieku jest już wymieniony browar z karczmą. W innych źródłach czytamy, że Ludgarda, żona Przemysława II, zaprowadziła w Kaliszu liczne browary. Długosz nadmienia o Przemysławie księciu poznańskim, zmarłym w r. 1257, że był chorowitym, więc pijał tylko słabe piwa. Długosz w opisie opowiada, że kraj ten zamiast wina, używał piwa warzonego z żyta, pszenicy, jęczmienia lub orkiszu. Piwo z jęczmienia zwane po literacku atus, było głównie obrzędowym napojem przy obrzędach bałwochwalczych. W Polsce mamy wzmianki o chmielu w XIII wieku.

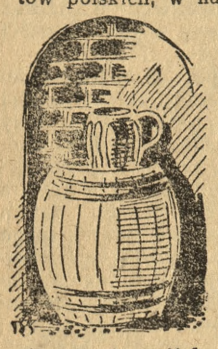

W wieku XVI chmiel już był przedmiotem handlu wywozowego z Litwy a statut litewski przepisuje surowe kary na szkodników w chmielnikach.

Zygmunt Stary spożywał zawsze na śniadanie „gramatkę" tj. polewkę piwną z grzankami.

Piwo proszowskie i piotrowskie uważane było za najlepsze. Cech piwowarski w Krakowie istniał już w XV wieku.

Jeszcze w XV wieku warzono piwo z pszenicy. Taksa żywności na Kazimierza krakowskim w roku 1573 stanowi, aby piwo warzono tylko z czystej pszenicy. W wieku XVII jęczmień wziął górę nad pszenicą. Prawo z roku 1685 przepisuje tylko, aby na 10 korcy jęczmienia dodawano obowiązkowo korzec czystej pszenicy. Na Mazowszu słynęło piwo wareckie, tak jak w Litwie: grodzieńskie, kiejdańskie, nieświerskie, bałwierzyskie a orszańskie na Białejrusi.

Piwa szlacheckie, klasztorne, marcowe i owsiane zachwalano szeroko i daleko.

Halina Maćkowiakówna

Z przeszłości guzika

— Masz babo placek!, właśnie teraz, gdy tak mi spieszno, musiał się ten przeklęty guzik urwać! Zły na cały świat, kiniesz w brzydki sposób. Czyż nie mogli coś lepszego wymyśleć?! I przyszywając nieszczęsny guzik, nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo musieli się męczyć nasi praojcowie, nie znając dobrodziejstwa tego małego, okrągłego przedmiotu. A przecież łatwo sobie wyobrazić, jakie trudności, i na jakie nieprzyjemności narażeni byli ludzie, kiedy guzik leżał sobie spokojnie między mnóstwem innych jeszcze nie narodzonych, czyli niewynalezionych rzeczy. No, bo proszę pomyśleć choćby o spodniach, przytrzymywanych sznurkiem lub rzemieniem. Jesteśmy na ulicy, na spacerze z damą swego serca lub na balu i tu naraz bęc, pękł sznurek! I co teraz? Robi się nam gorąco, potem zimno, w końcu spodnie w garść i w nogi.

I dziś, kiedy tę tak drobną część składową naszego ubrania przyzwyczailiśmy się uważać za coś najpospolitszego, warto pomyśleć, jakie ten tak ważny twór umysłu ludzkiego przechodził koleje i próby, zanim sobie zyskał dzisiejszą popularność.

W XI wieku Knad, czyli Kanud Wielki panował jednocześnie nad Anglią, południową Szkocją, Danią i Norwegią. Dumny władca, niezależnie od armii stałej, płaconej ze skarbu publicznego, otaczał się liczną gwardią przyboczną, stanowiącą część składową licznego dworu. Wszyscy następcy Kanuda Wielkiego poszli jego śladami. Utrzymanie armii i dworu dużo kosztowało. Pokaźna również suma szła ciągle na kupno przyrządów, służących do podtrzymywania ubrania na żołnierzach i dworzaninach. Przyrządy te, nie modyfikowane, to po prostu sznury, rzemienie, niewygodne i niepraktyczne sprzączki, fibule. Nie spełniały one nawet w części swego zadania, a przede wszystkim, nie mogąc szczelnie pozapinać ubrania, nie zabezpieczały wojska przed ostrością klimatu. Zaczęto wtedy używać naprzód ości z ryb jako szpilek, potem prawdziwych szpilek, wreszcie haftek. Dopiero na początku XIV wieku krawiec duński Knobbe wpadł na pomysł wyrabiania małych krążków z kości, z dziurką w środku, ułatwiającą przyszycie.

Guzik został wynaleziony.

Nazwano go od jego wynalazcy Knob, zmieniając z biegiem czasu „b" na „p", i tak dziś po duńsku i szwedzku guzik znaczy Knop, albo Knap. Niemcy tylko dodali „f" i zowią go Knopf.

Guzik szybko rozpowszechnił się po Europie. Dokonał też pewnego przewrotu w modzie ówczesnej. Zaprzestano bowiem nosić suknie szerokie i obwisłe.

Poczęto go również uważać nie tylko za rzecz potrzebną, ale za ozdobę. Sygecius, kronikarz czeski, w roku 1368 opowiada, że za jego czasów noszono po pięć i po sześć rzędów guzików.

P. Krasicki

„Wsi wesoła"

Udało mi się wyjechać z miasta na tydzień. Nie dużo to co prawda, ale zawsze. Trochę się przecież wypocznie. Początkowo nie byłem zdecydowany dokąd pojechać. W góry, nad morze, do leśniczówki... Przecież wybrałem wieś. Ta cisza, ten spokój, k r o w i e m l e k o! Pszczoły bzykają, kozy beczą, psy szczekają, konie rżą, owce płaczą, krowy buczą — słowem prawdziwie wiejska c i s z a.

Wybrałem sobie wioskę uroczą, przepiękną. Jak okiem sięgnąć pola i pola. Równe, równiusieńkie. Gdzieś na widnokręgu trzy polne wierzby. Chatki przy drodze mają takie śliczne płotki i kwiatki.

Wybrałem sobie chatkę na skraju wsi. W ogródku malwy, trzy drzewa owocowe, nieco agrestu i lipa. Z walizki wyjąłem hamak, gdyż upatrzyłem sobie miejsce w sadzie. Ach jak to pięknie kołysać się w hamaku i o niczym nie myśleć!

Gospodarze moi to bardzo mili ludzie. Ich dzieci (dziewięcioro) też. Najstarszy syn pomaga ojcu w polu: ma już 10 lat i pasie krowy.

Wynająłem izdebkę, w której prócz łóżka stała moja walizka. Okienko „wychodziło" na oborę. Po podróży spałem świetnie. Obudziłem się z rannym brzaskiem, coś około 10. Poprosiłem o śniadanie, które z wilczym apetytem pochłonąłem. A teraz w sad. Rozwiesiłem hamak, książka do ręki i dalejże wypoczywać a wypoczywać. Ledwom umęczone miastem ciało ułożyć miał wygodnie w hamaku a tu masz ci. Zwaliłem się na łeb — przepraszam — odwrotnie, nie na łeb, a kłujące osty pokłuły mnie jak licho. Okazało się, że to co wziąłem za pień gruszy było słonecznikiem. Tak to bywa kiedy się jest krótkowidzem.

W południe gospodarz wrócił z pola. Pogwarzyliśmy sobie nieco w końcu zaproponował mi wyjazd w pole. Żeby mu trochę pomóc. Bąknąłem coś o Samopomocy Chłopskiej ale poszedłem. Z obywatelką gospodynią wiązaliśmy snopki żyta, które pod kosą gospodarza słało się u jego nóg. Pracowaliśmy od południa do szarówki.

Trochę mnie kości bolały ale pomyślałem sobie, że to zdrowo. I to wiejskie powietrze do tego!

Wieczorem obywatel Ambroży (gospodarz) poprosił mnie o napojenie koni, co też bez ociągania się uczyniłem z tym tylko, że koń mnie ugryzł w ramię. Bolało, ale koń to przecież zwierzę.

Ambrożowa przygotowała w tym czasie kolację dla dziewięciorga dzieci, męża, siebie a potem dla mnie. Bardzo się zdołali mili gospodarze do mnie przyzwyczaić, skoro zaprosili mnie do stołu. Jadłem więc z nimi razem. Pan Ambroży coś tam do mnie mówił, ale nie słyszałem bo to przecież tyle dzieci. Prawda? O 5 nazajutrz ktoś mnie mocno potrząsał za rękę. „Obywatelu wstawajcie! Już p ó ź n o!" I znowu w pole. Pracowaliśmy do 12. W południe obiad, oczywiście wspólny i znowu w pole. Pracowaliśmy do zmierzchu.

Wieczorem usiedliśmy w sadzie na ławeczce. Trochę mnie bolały pośladki, ugryzione ramię, krzyż, ręcę, łopatki, biodra, ramiona, nogi, głowa kolana... ale za to upajałem się świeżym wiejskim powietrzem. Ambrożowa zaś twierdziła, że te strzykania przejdą i że to od tego jakiegoś tam hamaku.

Rankiem o czwartej (bo żniwa w pełni) poszliśmy znowu w pole. W południe gospodyni pobiegła do chaty, żeby nawarzyć obiad dla nas żniwiarzy. Wieczorem wróciliśmy o' 10.

Tydzień przeszedł szybko. Czas wracać do... pracy. Przyjechałem szczęśliwie do domu. Wypakowałem walizkę, rozwarłem balkon i chłodny, świeży wiew napełnił pokój. W pobliskim parku ptaszki wesoło kwiliły przed snem. Cudowny księżyc unosił się nad drzewami. Tylko z daleka gdzieś zegar na wieży wybijał swe wieczorne godziny. Ułożyłem się na wygodnym tapczanie i wchłaniając wonne powietrze parku, zasnąłem.

Rano budzono mnie dość długo. Mruczałem przez sen, że już nie mam sił iść w pole. Kiedym do reszty ze snu otrzeźwiał, wyskoczyłem z łóżka jak rączy jeleń i pobiegłem do pracy.

Kości już mnie nie bolą i czuję się świetnie.

Tadeusz H. Nowak

Bezpiecznie, zawsze bezpiecznie

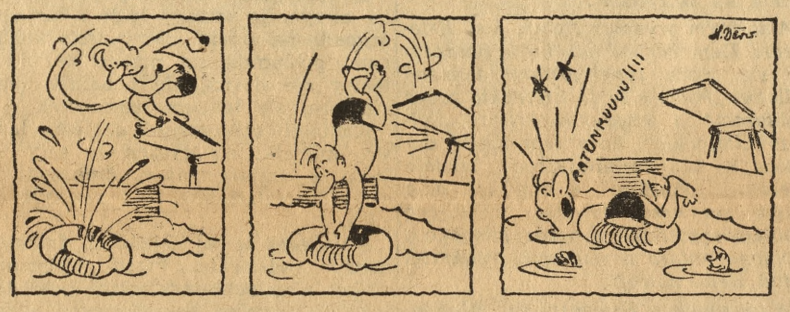

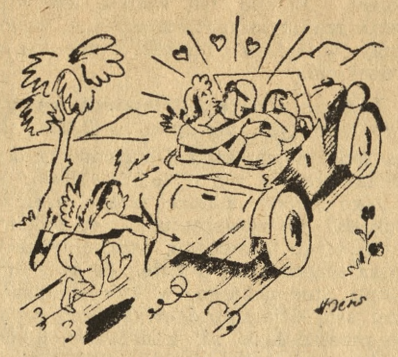

Amorek: — Diabli nadali technikę! Człowiek nie może w ogóle nadążyć!!!

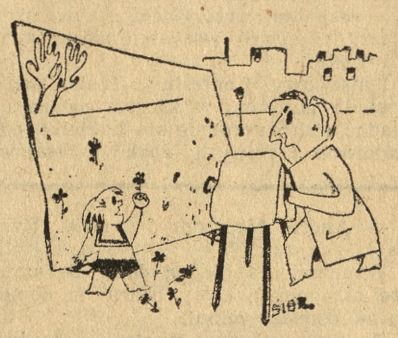

Rysunek bez podpisu

Fraszki

Nie czas żałować...

Gajowego żona usta
Malowała właśnie,
Gdy krzyk nagle podniesiono,
Że gdzieś pali las się.
— Ach, nie przerwę — rzecze — pracy
Mimo te hałasy,
Bo „nie trza żałować różu,
Kiedy płoną lasy".

O zębie

— Już po zębie! — rzekł dentysta —
Wydarłem go siłą...
Pacjent na to: — Prawda czysta,
Z ust mi pan to wyjął.

Władzio i wesz

W czuprynie małego Władka
Jedną wesz znalazła matka.
Więc doń rzecze tymi słowy:
— Skąd ci to przyszło do głowy?

MIK

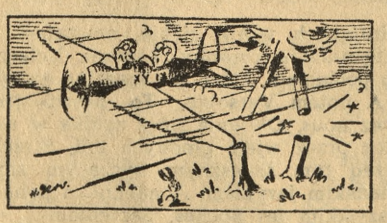

— No Feluś — łośmy „fachowo odstawili!!

Z teki karykaturzysty

Adam Kostaszuk, dyr. Radia Polskiego w Poznaniu

BAJKA

Ukradł, ale nie wpadł, więc żyje „normalnie",
a nawet założył „Cudzych sumień pralnie"...
Na koniec wyśledził jego „grzech" konkurent,
wszczęło zaraz śledztwo, proces, awanturę.
Nic to, bo przy sprawie dowiódł znów obrońca,
że jego pupilek nie przewidział końca...
Słowem — nienormalny był, choć szanowany,
więc sąd po rozwadze kazał zdjąć kajdany...
Z bajki tej wynika, że wszyscy złodzieje
nie odpowiadają za swe skryte dzieje.
Od razu więc teraz, kto przestępstwo skrobie,
jest już rozgrzeszony, bo działa w chorobie...
Kto jeszcze nie pojął — morał znajdzie na dnie:
czy człowiek normalny, jak ty sam — ukradnie?

St. Witowski

Naiwnemu

Gdyś klucz do jej serca znalazł
nie wiedziałeś o tym wcale
że pasuje on do złotej
twej szkatuły tak wspaniale. —
Nie karałbym cię wysoko
rozgrzeszyłbym twą podnietę.
Wiem, Myślałeś, że masz złotą
a nie dla złota — kobietę.

Tyski

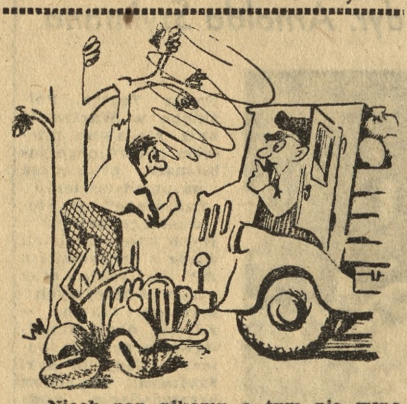

— Niech pan nikomu o tym nie wspomina, bo jakby się u mnie w firmie dowiedzieli, mogliby mnie zwolnić.

— Nie licz tych pieniędzy, bo i tak jutro z gazet się dowiemy.

— Wierzyć się nie chce, że tak się ubierała moja babcia

A tego rogacza gdzie pan zastrzelił?

Która to była gruszka?

Ludwik XVIII, przechadzając się po ogrodzie swego pałacu w Saint Cloud, spostrzegł na drzewie dwie wspaniałe gruszki. Lubił bardzo owoce, kazał więc ogrodnikowi zerwać je i przynieść do pawilonu. Ogrodnik zerwał gruszki i dał owoce swemu małemu synkowi, aby doręczył je królowi. Król wziął gruszkę i począł zaraz jeść, drugą zaś dał chłopcu. Ten wyjął scyzoryk i zaczął obierać owoc.

— Patrzcie go — rzecze król — to ja, władca Francji, mogę jeść gruszkę nieobraną, a ty nie możesz?

— Ależ owszem — odparł chłopiec — ja też jem zwykle gruszki nieobrane ale teraz, gdy je niosłem, jedna wpadła mi do gnojówki, a nie wiem, która to była.

Spragniony wody możesz mokry odejść

Mocno spragniony Śliwka pod pompą — przechodzącego faceta skąpał.

Ten zaraz z pięścią wściekły przyskoczył, nos chciał mu rozbić i wybić oczy.

A potem chwycił Śliwkę w połowę i pod kran wsadził biednemu głowę.

Rezultat taki, że obaj kąpiąc mokrzy i gniewni do domów człapią.